PRAWDA

Pismo tygodniowe.

Nie przyszedłem dawać pokoju, ale miecz. MAT. X, 34.

Rok XXXIV Nr. 5. *Warszawa, 31 stycznia 1914.* Widok 3.

Demokratyzujmy młodzież!

I.

Arystokracja nie cieszy się w Polsce mirem i zarzuty, jakie sypią się na nią ze wszystkich stron, są po największej części słuszne. A jednak, nietylko na szczytach społecznych rozsiadł się u nas arystokratyzm, ale i na zboczach, a nawet — w nizinach.

Jesteśmy nim nawskroś przepojeni.

Arystokratami są nasi kupcy, uważający za ujmę dla siebie obsłużyć klijenta osobiście, arystokracją — nasza inteligencja, lubująca się w tytułach i godnościach; arystokratyczne są nasze obyczaje w których przesadna grzeczność odpowiada często zbytniej wyniosłości; arystokratyczne są nasze gosposie, otoczone licznym sztabem służby i gustujące w życiu nad stan; arystokratyczna jest wreszcie nasza młodzież nawet w tych odłamach, które hołdują prądom skrajnie lewicowym.

Uwydatnia się to w jej postawie życiowej. Młodzież nasza, bardzo skąpo wyposażona w środki materjalne, niewielkie również ujawnia cnoty bojowe w realnej walce o byt. Surowa rzeczywistość pozywa ją w szranki od wczesnych lat i doświadcza srogimi ciosami. Młodzież wkracza w te szranki zbrojna w górne hasła i szczytne ideały, lecz najczęściej bez duchowego i fizycznego hartu. Nic też dziwnego, że tak łatwo ima się naszej młodzieży zniechęcenie, rezygnacja i rozpacz. Nic też dziwnego, że tak często i tak tragicznie załamuje się ona w zaraniu życia, kiedy pokolenie rówieśne narodów zachodnich bez troski, pogodnie święci gody życia.

II.

Samobójstwa wśród młodzieży należą do najsmutniejszych zjawisk w naszym niewesołym życiu. Społeczeństwo powinno zrozumieć złowieszczą wymowę tych faktów i dociec ich przyczyny.

Prasa nieraz biła z tego powodu na alarm, bez wielkiego skutku. Świeżo z powodu tragicznej śmierci młodego artysty, który wolał skrócić swój żywot by nie umrzeć z głodu i zimna na swoim poddaszu w Paryżu — zamieścił S. Auerbach wymowne i gorące wezwanie w jednym z tygodników:

«W imię prochów tej ofiary polskiego nieszczęścia apeluję do społeczeństwa o zajęcie się losem studjującej młodzieży polskiej.

Przypominam, że przed trzema laty poruszyłem ten sam temat w prasie polskiej. Rewelacje moje wywołały w kraju żal i gorycz i smutek, ale nie pozostały bez skutku.

Dzwoni mi jeszcze w uszach entuzjastyczne poparcie mojej akcji przez takich ludzi jak ś. p. Ludwik Straszewicz i ś. p Bolesław Prus. Powstało wówczas w Paryżu *Koło Pomocy* i *Biuro Pracy*, które oddają do dziś dnia duże usługi wyrzuconym na ląd francuski robotnikom polskim.

Chodzi mi dziś o założenie podobnej instytucji, jeno dla proletarjatu inteligentnego, powiedziałbym: dla parjasów inteligencji. Pa-

miętajmy, że gdy tłum nie ma co jeść, to kradnie i zabija; lecz gdy parjas inteligentny nie ma co jeść, to również zabija — ale siebie A to wielka różnica».

— Ratujmy młodzież! — takim okrzykiem kończy się to wezwanie, które powinno tu trafić do serc.

III.

Tak jest! Ratujmy naszą młodzież!

Ale nietylko pieniędzmi. Ratujmy ją hartem i odwagą. Nauczmy ją zawczasu brać się za bary z trudnościami i patrzeć w przyszłość okiem nieulękłym. Niechaj będzie zuchwała i pogodna. Niech wyrobi w sobie zasób optymizmu, który starczy do schyłku życia. A co najważniejsza, niechaj ufa sobie niezłomnie, niech wierzy nietylko w inteligencję i talent, ale w równej mierze — w siłę swoich mięśni.

I niechaj z nich korzysta w walce o byt.

Uprzednio więc musi nasza młodzież nauczyć się szacunku dla pracy — nawet fizycznej. A przedewszystkim — pozbyć się pewnych arystokratycznych nałogów, które kładą jej pęta na ręce.

Rzecz szczególna: ta nasza młodzież, która tak chętnie garnie się pod sztandary czwartego stanu i w każdym zasmolonym najmicie widzi — w naiwny często sposób — pioniera lepszego bytu — zarazem uważa wszelką pracę fizyczną za coś hańbiącego, coś, co leży poza światem jej obyczajów i pojęć.

I częstokroć woli przymierać z głodu lub targnąć się na swoje życie — niźli skalać dłoń dotknięciem narzędzia pracy.

Tak niegdyś uważano handel i przemysł za proceder, niegodny szlachcica i przeznaczony dla ludzi podlejszej kondycji.

Czy nie szczególne to doprawdy, że pewien odłam naszej młodzieży krzewi z najszczerszym przekonaniem ideę rewolucji socjalnej, nie dostrzegłszy, że sam nie dorasta jeszcze poziomu współczesnej mieszczańskiej demokracji, która przecież opiera się na poszanowaniu pracy, bez względu na jej rodzaj?

IV.

Pogarda dla pracy fizycznej płynie poczęści z błędnego mniemania, jakoby praca umysłowa lepiej była płatna. Bynajmniej tak nie jest: każdy wykwalifikowany robotnik dzisiaj zarabia więcej, niż np. nauczyciel ludowy, nie mówiąc już o literatach, aktorach, dziennikarzach, tworzących proletarjat inteligentny, o wiele bardziej upośledzony materjalnie, niż proletarjat robotniczy, nad którym często niepotrzebnie litują się czułe serca. Na domiar, wszędzie na świecie rośnie popyt na ręce, a zmniejsza się zapotrzebowanie głów. Nadprodukcja fabryczna, która pozbawia pracy całe rzesze ludności, bywa przesileniem przejściowym, lecz nadprodukcja inteligencji jest zjawiskiem stałym.

To też właściwy żywioł robotniczy nie hołduje kierunkom skrajnym, podczas gdy bojujący anarchizm, wszędzie na Zachodzie, gorliwych znajduje rzeczników między parjasami inteligencji. Światopogląd robotniczy, nawet w teorjach przewrotowych, jest niemal po mieszczańsku zrównoważony wobec chorobliwych majaczeń, w jakie popada łatwo zgorzkniały i zbiedzony inteligent. Mówiąc o naszej młodzieży, trzeba i to mieć na widoku, że nie wychodząc ze skóry inteligentów może ona spaść niżej poziomu proletarjatu.

Rozpaczliwą więc ostatecznością praca fizyczna nie jest, i w demokracjach zachodnich odpowiada wcale znośnemu trybowi życia. Nadto praca fizyczna nie wyczerpuje, nie niszczy młodych organizmów, nękanych siedzącym trybem życia wśród czterech ścian i mechanicznym wodzeniem piórem po papierze, co w większości wypadków nosi dumne miano «pracy umysłowej», do której garnie się wyłącznie nasza młodzież w pogoni za skąpym zarobkiem.

To też niezamożna młodzież amerykańska, idąc za naturalnym zdrowym popędem, nieskrępowana żadnymi przesądami, woli prac fizyczną od umysłowej i dobrze na tym wychodzi.

Urzędowe sprawozdanie uniwersytetu *Columbia* stwierdza, że większość studentów pracowała na swe utrzymanie. Jedni zajmowali się malarstwem pokojowym, pracą na roli, w kancelarjach, roznoszeniem ciast i cukrów. Niektórzy z upodobaniem czyścili buty. Pewien student przyjął miejsce służącego w klubie sportowym, a inny kolega trudni

się roznoszeniem mleka. Niektórzy z nich pracowali po to tylko, żeby zarobić na zabawę i przyjemność, ale niemal wszyscy stronią od pracy umysłowej, co zdziwi zapewne europejskich ich kolegów, którzy poza «lekcjami», albo klasycznym «tłómaczeniem» nie widzą żadnych godziwych zatrudnień.

V.

Ztąd widać, jaka niezmierna przepaść otwiera się pomiędzy naszym wychowaniem, a postawą życiową młodych yankesów, najlepiej zaprawionych do walki o byt. Różnicy tej ściśle odpowiada kontrast pomiędzy naszą skłonnością do hipochondrji, a ich niewyczerpanym optymizmem życiowym, który często wydaje się nam fanfaronadą, będąc poprostu męskim zaufaniem do siły swych ramion i dzielności swego charakteru.

Student *Columbii*, który z upodobaniem czyści buty i z niezmąconą pogodą roznosi mleko, traktując to zajęcie jako sport, a nie przymus — wyda się nam czymś nieprawdopodobnym, dziwacznym i niewspółmiernym z naszym pojęciem godności, ale to pewna, że nie pozwoli się on pognębić przeciwnościom życia, nie pozwoli, by go zły los brał za gardło i rzucał o ziem: on go twardymi pięściami powita i odeprze.

I z takich właśnie rekrutują się owi *self-made-men*, którzy zdumiewają świat niezmożoną energją i siłą.

Krótko mówiąc, takich nam ludzi potrzeba.

Amerykanizujmy więc naszą młodzież!

Niech będzie od najmłodszych lat harda, nieustępliwa, niech nie zna bojaźni, niech ufa tylko sobie, niechaj polega na sile ramienia i od pracy fizycznej niech nie stroni! Pozyska wówczas bezcenny skarb młodości: humor i pogodę umysłu.

A gdy już każdy student polski, wzorem skautów, potrafi w razie potrzeby imać się topora i w życiu, jak w dżungli, wyrąbywać drogi bez oglądania się na niczyją pomoc — będziemy spokojni nietylko o losy młodzieży, ale i o przyszłość naszego kraju.

Echa Prawdy.

. Hammerszlag i Kleinfeld, czyli dwaj augurzy. — II. Baron von Heydebrand i jego towarzysze. — III. Prometeizm hr. Morstina. — IV. Zwycięstwo sztuki polskiej na Zachodzie i tandety Zachodniej u nas. — V. «Wydrwigroszówka»

I. — Chcesz pan wydawać pismo polskie dla Żydów?

— Nie! Dla Polaków—odparł pan Kleinfeld.

Pan Hammerszlag, który dotąd pochlebnego był zdania o panu Kleinfeldzie, spojrzał nań z pewnym lekceważeniem.

Chwilę gładził patrjarchalną swą brodę, wreszcie położył dłoń na kolanie rozmówcy i zaczął mu perswadować, jak małemu dziecku:

— Mój panie, po co panu ta impreza? Chyba pan wiesz, że takie pismo nie może być poczytne: Polacy go czytać nie zechcą, a Żydzi — nie potrzebują: oni i bez tego doskonale wiedzą, co dla nich dobre, a co złe. No, więc to jest bardzo kiepski interes i ja się bardzo dziwię, że taki dobry kupiec jak pan, panie Kleinfeld, miewa takie pomysły.

— Przepraszam — zaoponował pan Kleinfeid z godnością — mnie nie chodzi o żadne zyski, tylko o zasady.

— Zasady? Jakie zasady?

— No, te... postępowe, humanitarne. Wobec takiego rozwydrzenia reakcji, wobec panowania haseł bojkotowych, musimy przecież bronić ideałów wszechludzkich i tego...

Pan Kleinfeld zaplątał się i zamilkł pod ironicznym spojrzeniem pana Hammerszlaga.

— Panie Kleinfeld — zaczął finansista łagodnie — chyba nie spodziewa się pan poważnie, że pan kogo przekona. Kiedyś to było możliwe, ale dziś... To już nie warte zachodu... Pieniądz, panie, kapitał, organizacja handlu i przemysłu — oto nasza broń! Nie czas teraz bawić się w szermierkę literacką; zamiast *ich* zawstydzać, zamiast wytykać *im* brak zasad i t. d. — trzeba zakasać rękawy i zabrać się do pracy realnej w sklepach, w bankach, w kantorach...

Tak przemawiał pan Hymmerszlag do pana Kleinfelda, ale go nie przekonał, bo pan Kleinfeld uparł się bronić «zasad humanitarnych».. Z westchnieniem więc dobył bankier pięć stówek (dwie schował z powrotem) i wręczywszy pieniądze rzekł na pożegnanie:

— A dobierz pan sobie co najgłupszych literatów!

— Dlaczego? — zdumiał się Kleinfeld.

— Bo tylko głupcy będą pisali to wszystko ze szczerym przekonaniem o postępowości Żydów i zacofaniu Polaków.

— Pan chyba żartujesz, panie Hammerszlag?

— Nie, panie Kleinfeld, ja mówię zupełnie poważnie.

To rzekłszy, podał mu bankier dwa palce i odwrócił się plecami.

II. Niemcy pełne są jeszcze poszumów burzy, które w alzackiej szklance wody rozpętał gołowąsy porucznik. Wezbrane fale przewaliły się przez kraj, rozkołysały prasę, wtargnęły do parlamentu, obryzgując nawet stopnie tronu. Kilka jaskrawych błyskawic oświetliło na szczycie władzy zwarty i potężniejszy niż kiedykolwiek zastęp szlachty pruskiej, twardej, nieugiętej i niezachwianej na swym stanowisku.

A stanowisko to zaszczytne i naczelne.

Niemcy są ostoją reakcji w Europie, w Niemczech opoką reakcji są Prusy, w Prusach opoką reakcji jest szlachta z Pomorza i kresów wschodnich, zorganizowana w głośną Ligę, zkąd padły niedawno słowa obelżywe w stronę parlamentu i niektórych państw Rzeszy.

Dla pełności obrazu należy dodać, że nadbaltyccy krewniacy junkrów pruskich rządzą nad Newą niemniej wszechwładnie, jak oni rządzą nad Szprewą. Jeden, wspólny duch ożywia prawicę rosyjskiej Rady Państwa i większość rządzącą pruskiej Izby Panów.

Berliński przywódca tej kasty, p. von Heydebrand nosi dumnie miano «niekoronowanego króla Prus», a z równą słusznością mógłby się nazwać władcą środkowej i wschodniej Europy.

Takim jest junkier potentatem. Olbrzymi wzrost ilościowy i materjalny mieszczaństwa niemieckiego dotąd nie zachwiał jego władzy. Uczyni to kiedyś niewątpliwie, to też pan von Heydebrand pała niemniejszą nienawiścią do burżuazji, jak najczerwieńszy «towarzysz» ze skrajnej lewicy. Wyraz tych uczuć dosadnych dał w swoim czasie Bismark, wołając z trybuny parlamentu, że, by urwać łeb hydrze, należałoby miasta zburzyć a mieszczuchów osiedlić na roli.

P. von Heydebrand nie żąda już tak heroicznych środków. Przybył mu bowiem czynny sukurs z tej strony, zkąd go najmniej może wyglądano.

Sprzymierzeńcami — bezwiednymi coprawda, lecz to postaci rzeczy nie zmienia — stali się dla pana von Heydebranda niemieccy socjal-demokraci, którzy groźbą rewolucji społecznej i hasłem walki klas trzymają w szachu wystraszone mieszczaństwo.

Bo pan von Heydebrand, człek niegłupi, bynajmniej nie boi się ani walki klas, ani rewolucji społecznej.

Przeciwnie — wygląda z niecierpliwością, z utęsknieniem pierwszego szturmu socjalistów na okopy mieszczańskie. Zawczasu zaciera ręce, smakując widok niezwykły; gdy jednak socjaliści nic śpieszą się wcale z przejściem od słów do czynów, gdy poprzestają na wygłaszaniu w parlamencie długich tyrad rewolucyjnych, pan von Heydebrand niecierpliwi się i przynagla:

— A zróbcież juz raz tę rewolucję!

Obraził się na to socjalista:

— Zrobimy ją wtedy — odparł z godnością— kiedy nam się to spodoba, a nie panu!

I dziwić tu się, że postęp w Niemczech idzie kulawo! Skrajna lewica hołduje dalej bezwzględnej walce klas — oczywiście w teorji — ale rewolucji— na złość panu Heydebrandowi — nie robi...

III. Nawet w «historycznych» rodzinach zdarzają się rzeczy gorszące, dobrze też czyni *Słowo*, że swoich «hrabiów» krótko trzyma, że im nie szczędzi przygan. Niechaj tylko nikt nie sądzi, że gromy jego wywołała opieka hrabiny Morsztinowej i pana Wielowiejskiego nad Klemensowskim, któremu — dla jego własnego dobra — chcą odebrać majątek, żonę i dzieci w przypuszczeniu, że mu to rozum przywróci. Dla takich drobnostek można mieć wyrozumiałość, ale — dzieją się gorsze rzeczy. Oto inny Morstin, autor «Lilji», posunął się tak daleko poza granice przyzwoitości, że pozwolił swój dramat przedrukować w *Zaraniu* Świat się kończy! Takie chamy, co to dla nich niema nic świętego, mają czytać «Lilje» pana hrabiego! Lilje! kwiat niewinności. *Zaranie* «zieje nienawiścią ku wszystkiemu, co jest poezją wiary i narodu» i toż samo *Zaranie* drukuje «Lilje»!! Cóż za profanacja!

Dziwnie, zaiste, objawia się ta nienawiść do poezji, wiary, kultury narodowej w potępionym piśmie. Toż tam streszczono dla chłopów Irydjona, dzieła Wyspiańskiego. Czytelnicy jego sądzili, że jak błękit rozciąga się nad głowami wszystkich, tak i poeci Polacy piszą dla każdej polskiej duszy, że kultury polskiej nie zabraknie dla jaśnie państwa, choć z niej chłopi czerpać będą. Wiemy zresztą, że «jaśnie państwo» wolą literaturę obcą, że naogół niesłychanie mało czytają.

Lecz jeśli gromy *Słowa* budzą zdumienie i niesmak, to odpowiedź hr. Morstina w tymże *Słowie*—budzi politowanie. Poeta złapany na gorącym uczynku, kaja się, bije w piersi, przeprasza, iż co zrobił — zrobił nieumyślnie i już nigdy nie będzie. Eh! mdło się robi... na widok tak «prometeicznego» poczucia odpowiedzialności za swe czyny!

IV.

> O Polsko! granic twych nie widzę linji,
> Nic nie masz oprócz *głosu* — tak uboga!
> Istniejesz przecie...

Słowa te wypowiedziane przez Norwida przed pół wiekiem z górą nie utraciły, niestety, dotąd nic ze swej treści. Nic dotąd *oprócz głosu* nie mamy, coby stwierdzało istnienie nasze. Głos ów tylko co pewien czas daje Europie znać, że żyjemy.

Głos ów to — sztuka nasza. Rozległ się on obecnie donośnie po całym Niemczech poprzez «Chłopów» W. S. Reymonta. Przerwał tamy obojętności obcego społeczeństwa, pokrył skowyty hakatyzmu i odbił się echem entuzjastycznym odezw najwybitniejszych literatów i krytyków niemieckich. Atoli i to jedno z tak rzadkich zwycięstw ducha naszego nie da się wyeliminować z pod osadu pewnej gorzkiej refleksji. Jałowa — bo istotnie pustoszą beztalencia zieje — piśmiennicza gleba niemiecka przeszczepia z naszych żyżnych niw jednak tylko dzieła pierwszorzędnej wartości (kto w Niemczech wie o całej po za Reymontem plejadzie wielkich talentów powieściopisarstwa i liryki polskiej?), gdy tymczasem my, acz sami nierówno zasobniejsi, wytrwale połykamy wszelką tandetę belletrystyczną i sceniczną Zachodu. Ale trudno, noblesse oblige! Bahr, Wolff czy Richarda Huch też żyć musi.

V. «Nigdy jeszcze — pisze *Dwugroszówka* (Nr 27) — nie zgromadziło się tyle, co w czasach obecnych sił wrogich, które na naszą dybią zgubę». Zaczym jęła wyliczać owe siły wrogie. Naprzód — prusacy; powtóre — rusini; potrzecie — żydzi; poczwarte — litwini; popiąte — białorusini. Kropka. A panowie Hurko i Stiszynskij? — przypomniał ktoś.

Tych przemilczano. Jakże wymowne jest to przemilczenie!..

L. CHOROMAŃSKI.

Firleje.

Kto rano wstaje
Temu Pan Bóg chleba daje

A kto śpi dłużej troszeczkę,
Ten jada z masłem bułeczkę.

A kto chrapie jeszcze dłużej,
Przed tym się pulardka kurzy.

A kto śpiący całą dobę,
Czczą w nim niezwykłą osobę.

Kto się z sennym brata biesem
Tego proszą: «Bądź prezesem!»

A z kim się śpiączka już zrosła,
Tego naród śle na posła. [1])

[1]) Urywek ze świeżo wydanego tomu: «Firleje Momusowe». Wiersze, piosenki, satyry. Skład gł. w Warszawie, księg. F. Hoesicka.

J. KADEN.

Kronika krakowska.

STRÓŻ Z ŻYCZENIAMI ŚWIĄTECZNYMI.

Chodził po całym domu, po wszystkich piętrach, od drzwi do drzwi, z garściami pełnemi szczęścia, zdrowia, wzrostu, urodzaju i złota... Od drzwi do drzwi szedł z tym osobliwym swoim śmiechem, na poły służalczym, na poły drwiącym, stawał na progu, huczał coś ciężkim przeziębionym głosem, budząc rozgłośny śmiech i puste, nieszczere wesele.

Nakoniec przyszedł i do mnie, — ta nędza nędz, ów człek żyjący gdzieś w podwórzu, w lepiance, w izbie, w jakiej się pokazuje rodzinę afrykańskiego plemienia na wystawie międzynarodowej.

— Kto tam?

— Stróż, — proszę łaski.

Gdy taką «łaskę pana» usłyszę, wstyd mi, że mówię poprawną literacką polszczyzną i ręce mam zaprawne do pióra, może do muzyki, może do inteligenckiego gestu, nie zaś ciężkie, porwane, bliznami rzemiosła wzdłuż i wszerz przeszyte.

— Proszę wejść, proszę.

Wszedł i na tle okna, za którem białe śniegi pól czarnymi szkieletami drzew przerośnięte, biegły daleko, — kroczył ku mnie załosny i śmieszny, w liberyjnym kaszkiecie w szarym kubraczku.

Śmiał się radośnie i przezornie jak śmieją się ludzie nie wiedzący, co spotka ich za chwilę, — grubjaństwo, nagana, czy pieszczota...

Wszystko to nie trwało więcej, niż chwilkę,— a jednak — zwidziała mi się ta chwila niezmiernie treściwą, głębszą niż godziny, szerszą niż dni.

Stanąwszy już przy mnie, wciąż z tym samym uśmiechem błogosławieństwa i strachu, wyprężył ramiona i rzucił na mnie z czarnej, spracowanej dłoni garść owsa. Niby ciężki deszcz, ziarneczka błysnęły pod śnieżne tło okna, spadając na podłogę.

Raz i jeszcze i jeszcze raz... Na szczęście, na zdrowie, na Nowy Rok, — niech się darzy...

Tak między nimi, a nami idą i mijają wieki. I choć jeno samo zło mieli od nas i choć niewolą obdarzyliśmy ich w naszej władzy ostatnim roku idą ku nam wciąż z rękami ciężkiemi od znoju, nadziei i zdrowia pól.

Tom właśnie myślał, schyliwszy szczęśliwie i pokornie głowę pod deszczem ziaren zboża z ręki prostego człowieka, który prostotą swą, nieprzerwane straże trzyma na ziemi tej, chrzcząc złotem ziarnem złych swoich braci.

ST. ROMANOWSKI.

„Graeculi".

1.

Graeculi — Greczątka: tak Niemcy współcześni przezywają współczesnych Francuzów, kładąc w ów wyraz tę samą mieszaninę wzgardy, podziwu i politowania, którą Rzymianin starożytny obdarzał starożytnego Greka.

Nie będziemy się zastanawiali nad tym, ile w tej postawie Niemców tkwi brutalnej pychy pruskiej: zapytajmy, natomiast, czy w dzisiejszej polityce francuskiej niema pierwiastków, któreby tę pychę pruską karmiły, któreby ją podbijały w górę, które wreszcie dawałyby jej pozory usprawiedliwienia?

2.

W roku 1870 Niemcy rozgromiły Cesarstwo Francuskie; ale wówczas jeszcze nie śmiały gardzić Francją, która, tak szybko jak żaden inny kraj umiała zawsze leczyć swoje rany. Niemcy, zwyciężywszy Francję, niemal poczęły się bać swego zwycięstwa. Czyż szalony rozrost militaryzmu niemieckiego nie powstał z bojaźni przed odwetem zranionej Francji?

Żadne siły przez długi czas nie zdawały się Niemcom dostateczne po temu, by zabezpieczyć sobie posiadanie tego, co zdobyły. Francja po pogromie zdawała się Niemcom straszniejsza, niż Francja przed pogromem. Straszniejsza o cały impet... gniewu i rozpaczy. I tym poczuciem trwogi, tym *niepokojem zbrojnym*, Niemcy przez lat kilka, przez lat kilkanaście, składały hołd najwspanialszy potędze moralnej ducha francuskiego. Bismark, nazajutrz po wzięciu Paryża, począł pracować nad osłabieniem wrażenia tej katostrofy w pamięci świata. Postanowił utopić je w zgiełku nowych, obcych zdarzeń. Pchnął Rosję w krwawą wojnę Bałkańską. Francji wskazał pole bezgranicznych podbojów w Afryce: niechaj opanuje Morze Śródziemne, niech oprze się bodaj o brzegi Oceanu Indyjskiego, byle tylko przestała patrzeć ku brzegom Renu!... Bismark, jak wiadomo, zrzekał się polityki kolonjalnej, odstępując Francuzom obszary ekspansji zamorskiej, niemal obszarów tych dla Francji wyszukując. I znowu w tej trosce o tereny dla ekspansji wroga tkwiła cześć dla jego nieujarzmionej żywotności; tkwiła pewność, że Francja niebawem powstanie do strasznego skoku. Więc starano się dać jej z góry przestwór swobodny dla upustu siły.

Minęło atoli lat 15 i — Niemcy przestały się lękać odwetu. Minęło lat 20 i — Niemcy zaczynają z Francuzów: szydzić. Minęło lat 25 i — Francja ujrzała się zmuszona do zawarcia przymierza z Rosją.

Sedan był dla Francji tragedją, ale nie był upokorzeniem; był wyrokiem zagłady dla cezaryzmu, był wyrokiem hańby dla generalicji, nie był przecież wyważeniem z posad dumy narodowej: duma Francji zachwiała się i ugięła dopiero w roku 1894, w przededniu nawiązania przyjaźni z Rosją.

Nic to, że sojusz franko-rosyjski pomyślany został naprzód przez Rosję, że przez Francję został tylko przyjęty. Upokarzające właśnie były pobudki, które Francję do przyjęcia sojuszu skłoniły.

Albowiem sojusz, w mniemaniu Francji, polegać miał na tym, iż wzamian za złoto, pożyczone Rosji, nabywała ona praw do... krwi rosyjskiej. Nie wystarczały czarne wojska, na dalekim południu, tworzone z synów Senegalu. Zaszła potrzeba stworzenia białych wojsk na dalekiej północy.

Mieszczanin francuski przestał troszczyć się o wszelkie inne fortece, poza fortecą swego napełnionego trzosa. Ten złotem napełniony trzos stał się dla Francuza III-ej republiki skarbcem i zbiornikiem wszelkich postaci duchowej energji. Za pieniądze można kupić męstwo i poświęcenie; można kupić waleczność i hart, wytrwałość i entuzjam: tak myślała Francja w roku 1894, przyjmując ofertę Rosji. Ludność francuska nie przyrasta: lecz czyż warto się tym martwić? Wszak dość jest na świecie barbarzyńców; dość plemion świeżych, które za pieniądze każdej chwili uzbroić można i cisnąć przeciwsko nieprzyjaciołom. Niechaj Niemcy za kraj swój przelewają krew własną. Francja — chełpiono się w Paryżu — dość jest bogata, by ją stać było na najemników.

Jakże srodze miała się w swych rachubach chełpliwych zawieść!...

3.

Pierwsze pożyczki, przez Francję ofiarowane północnej sojuszniczce sięgają roku 1889. Ćwierć wieku zatym liczy już to osobliwe małżeństwo, jedno z najosobliwszych zaiste i — najbardziej chyba „konwenansowych". Ćwierć wieku! okres dostateczny, by można, po jego upływie, podkreślić linją zawarte w nim pozycje i stworzyć przybliżony bilans.

Rosja zrazu drobnymi sumami i zrzadka, potym coraz grubiej i coraz częstszymi dozami kazała płacić sobie za przyrzeczone przymierze. Każdy akt sympatji między obu państwami otrzymywał chrzest z ręki francuskich bankierów. Każda pożyczka następna służyła ku zabezpieczeniu poprzednich i — dziś, rzecby mo-

żna, Francja znajduje się w położeniu owych wierzycieli zrozpaczonych, którzy pożyczać muszą sumy coraz nowe potrzebującemu dłużnikowi, z obawy, aby przez odmowę jednorazową nie utracić tego wszystkiego, co mu był zawierzył.

Nazajutrz po wizycie Kronsztadzkiej 100 miljonów franków w złocie francuskim wpłynęło do Rosji. Uroczystości w Tulonie upamiętniły się drugą pożyczką: tym razem na sumę 250 miljonów.

W roku 1894 admirał Gervais, wracający z uroczystości w Petersburgu, odesłany został do kraju pociągiem monarszym: za bilet na ten przejazd Francja zapłaciła 400 miljonów. W roku 1896 byliśmy świadkami nowej tranzakcji: wzamian za żywszy dar przyjaźni ze swej strony Rosja otrzymuje 250 miljonów gotówką. Między rokiem 1892 a 1895 przewędrowało ogółem z nad Sekwany do kasy rosyjskiej 3 miljardy franków, po których niebawem napłynęły nowe 4 miljardy.

W początkach roku 1904 obliczano już na 8 miljardów zabowiązania Rosji względem Francji.

W tym roku wybuchła kosztowna wojna na Dalekim Wschodzie. Rosja, która dotąd łechtała tylko trzos francuski, teraz poczęła go namiętnie ściskać. To też w roku 1909, jak oblicza pewien ekonomista, kapitały francuskie, ulokowane w Rosji, dosięgły już niewiarogodnej wysokości: 18 miljardów franków. Prawie 71% całego długu Rosji znajduje się w ręku francuskich. Wszelkie rządowe przedsiębiorstwa przemysłowe, budowa dróg żelaznych (nie wyłączając kolei Syberyjskiej), wreszcie reformy agrarne i wojna z Japonją: wszystkie te przedsięwzięcia stały się dla Rosji możliwe jedynie dzięki poparciu złota francuskiego. Bez jego pomocy nie starczyłoby środków zapewne i na stłumienie rewolucji; nie starczyłoby na wiele wyjątkowych a kosztownych środków energicznego uspakajania kraju.

Tak! Bez wątpienia zasługi republiki w ciągu ostatniego ćwierćwiecza położone dla *ancien regime'u* w Rosji powinny być złotymi głoskami wyryte na frontonie gmachu biurokracji rosyjskiej.

A cóż wzamian za usługi swe otrzymała Francja?

4.

Otrzymała pewien obrok moralny dla... swej miłości własnej: otrzymała zapewnienie, że w polityce międzynarodowej nie jest opuszczona, nie jest samotna. Pozwolono jej wysnuć dla się *maximum* zaszczytu z tego przymierza. *Maximum* horoskopów otuchy, związanych z tym przymierzem.

Nie szczędzono jej, słowem, pociechy moralnej.

I to już prawie wszystko... Wzamian za swe niepomierne poświęcenia w świecie ekonomji Francja otrzymała równoważnik w świecie ułudy. Najdobitniej to wyszło na jaw przed trzema laty, w momencie ostrego starcia Republiki z Cesarstwem Niemieckim na tle zabiegów o Marokko: *entente cordiale*, porozumienie z Anglją, zadzierzgnięte od niechcenia, i jakby mimochodem, nie cenione przez Francuzów zbytnio, a żadnych zgoła kosztów nie pociągające za sobą, żadnych ofiar, stało się dla Francji rzetelną oporą siły, gdy tymczasem przymierze zaprzysiężone, opłacane, przymierze niesłychanie kosztowne, w samym założeniu przeciw Niemcom zwrócone, wykazało zupełną swą niemoc i bezskuteczność. Anglicy, prawie nieproszeni, nadbiegli z rozstrzygającą pomocą; Rosjanie, rozpaczliwie wzywani, nie kwapili się ze skromnym zasiłkiem.

5.

Co gorsza: z biegiem lat i z biegem komplikujących się zobowiązań przymierze między dwoma narodami, miast okwitnąć uczuciami zaufania i przyjaźni, poczęło się jeżyć kolcami, drapiącymi zarówno serce Rosjan jak skórę Francuzów. Pożyczki nie były udzielane na warunkach łatwych. Drobny *bourgeois* francuski chciał wysokością procentów powetować sobie wysokość ryzyka, któremu ulegał. Rosjanin, w rzekomym dobroczyńcy, coraz wyraźniej rozpoznawał spekulującego lichwiarza. Stąd zobopólne, nieuleczalne rozjątrzenie. Im bardziej chwiał się kredyt Rosji, tym trudniejsze stawiała warunki Francja. Im zaś drożej płacić musiała za pożyczki Rosja, tym mocniej wzbierała w niej żółć przeciw swej przysięgłej sojuszniczce. Wywiązał się stosunek szczególny: każdy ak ofiarności francuskiej, miast utwierdzać wzajemną życzliwość, kopie coraz głębszą między obu państwami niechęć. Francja daje pożyczkę z bólem, Rosja bierze ją — z urazą.

(D. n.)

CZESŁAW JANKOWSKI.

Osaczeni.

Z CYKLU: «WSKAZANIA».

V.

Pozostaje na ostatek: tylko dotknąć „kwestji“ dającej się nam, Polakom, najdotkliwiej we znaki. Mowa, rzecz prosta, o kwestji żydowskiej. Komentarze zbyteczne. Wszystkie nasze dzisiejsze sfery społeczne, grupy polityczne, warstwy i stany doszły do bardzo trzeźwego a niemal identycznego zapatrywania się na rolę akcji żydowskiej, czyniącej zamach na wyłącznie dotąd polski charakter „ziem naszych“, oraz „paraliżującej nasze siły narodowe tam, gdzie podstawa siły polskiej spoczywa“. Mniejsza zresztą o tę lub ową, o mniej lub bardziej subtelną definicję: czem w stosunku do nas jest nasz współlokator, Izrael miejscowy. Wszyscy zgadzamy się na to, że po napłynięciu do Królestwa Polskiego mas t. zw. „litwackich“ sytuacja stała się w Królestwie Polskim groźną dla całego polskiego stanu posiadania — najróżnorodniejszego. Począwszy od wszelkiego rodzaju nieruchomości a kończąc na zagrożonej czystości ducha polskiego we wszelkich onego przejawach! Już dziś na 116 miast Królestwa Polskiego tylko w *dwudziestu trzech* ludność polska stanowi większość a stosunek ten, jeżeli obecny stan rzeczy ma trwać, będzie musiał z matematyczną ścisłością rozwijać się na naszą niekorzyść. Przypomnijmy wreszcie coraz buńczuczniejsze „manifesty“ prasy żargonowej miejscowej i zamiejscowej, otrąbiające istne branie Królestwa Polskiego w posiadanie przez Żydów, ogłaszające światu, że powstaje, że już powstał nieznany dotąd w dziejach ludzkości nowy kraj: polsko-żydowski.

Wszyscy my to widzimy, wszyscy zdajemy sobie wybornie sprawę z niebezpieczeństwa. Różnice w poglądach istnieją wyłącznie i jedynie na gruncie sposobów, jakimiby dało się najskuteczniej a gorliwie stawić czoło nietylko „kwestji żydowskiej“ ale wszystkim wogóle osaczającym nas „kwestjom“.

I tak oto np. słyszymy bardzo często wyrażaną opinję, że my na tę „blokadę“ oraz na równoczesne rozprzęganie nas na rdzennych ziemiach polskich... nic poradzić nie możemy, że fatalne położenie naszego narodu odbiera nam wszelkie środki obrony, że przeto pozostaje nam tylko czekać, czekać cierpliwie, spokojnie, wytrwale, póki się coś nie zmieni na zewnątrz, póki nie zajdą jakieś, na naszą korzyść, ukształtowania się stosunków, od nas niezależne.

Są też i tacy, którzy nawet owego cierpliwego oczekiwania nie mają odwagi wysunąć na czoło programu naszego narodowego. Są bowiem głęboko przekonani, że „poradzić sobie“ nie potrafi nawet wśród najpomyślniejszych warunków i okoliczności naród tak marny, zdezorganizowany, leniwy, zdemoralizowany, lekkomyślny, płytki etc. etc. jak — naród polski w obecnym swym ... upadku.

Oczywiście, że nawet dla kontrastu z powyższym apatycznym pesymizmem, nie gra dziś żadnej wśród społeczeństwa polskiego roli programowej hasło walki zbrojnej ani na trzy, ani na dwa fronty ani na front jeden którykolwiek.

Okropne doświadczenia z lat 1862—1864, których dzieje mieliśmy czas przestudjować gruntownie i wszechstronnie, znakomicie zrównoważyły, śmiało twierdzić wolno, cały naród polski w zakresie hazardów, mogących mieć za fundament, tarczę i miecz jedynie—porywczość.

Natomiast bezpośrednio popowstaniowa idea „pracy organicznej“ ugruntowała się wśród społeczeństwa polskiego do tego stopnia, że niedawniej jak miesięcy temu kilka, w trakcie wielkiej polemiki organów polskich politycznych warszawskich o program zachowywania się wobec istnej nawały nacjonalizmu rosyjskiego, czytaliśmy taką np. enuncjację: „Znów zblakłe maksymy i przebrzmiałe hasła organicznej pracy odzyskały swą aktualną siłę i znów mrówczą począć trzeba pracę i jak koral, co rafy podwodne wznosi, nie wiedząc, kiedy na słońce się wychyli, umacniać nasz gmach społeczny, aby go przeciwne nie zmiotły fale. Dorobek więc materjalny i moralny, praca kulturalna nad sobą i otoczeniem najbliższem, — oto zadania dni i godzin na najbliższą dla nas metę, oto program, który każde stronnictwo, bez różnicy przekonania i katechizmów partyjnych, wykonywać praktycznie winno. W walce naszej, od początku ruchu wolnościowego poczętej, doszliśmy do jednego jedynego równouprawnienia, a mianowicie do tego, że wszelkie zarówno ugodowe czy opozycyjne kierunki, jednakowym reakcyjnym bite są obuchem. Zniwelowane więc do pewnego stopnia obozy poświęcić powinny pracę na wytworzenie sharmonizowanych placówek organicznej roboty“.

Miałożby to być *ultima Thule* całej naszej narodowej roboty?

Jako wkazanie ogólnikowe, ma niewątpliwie za sobą zakres bardzo cennej nawet nad wszelki wyraz pracy. Praca atoli organiczna „u podstaw“ jest przecie międzynarodową, powinna przecie jaśnieć w każdym programie każdej „myśli narodowej“ pod każdą szerokością geograficzną. Naród zaś nasz w tak wyjątkowych warunkach pędzi, zaiste „osobliwy“ żywot, że

dla uratowania, tak,dla uratowania samego istnienia musi po za pracą organiczną wykonywać manewr taktyczny, też arcy-realny, a którego zarys wytyczny pozwolimy sobie nie zwlekając rozwinąć.

Wpierw jednak, jako introdukcję do tej ostatniej części wskazań niniejszych niech nam wolno będzie zacytować ustęp z jednego z zeszłorocznych artykułów *Przeglądu Narodowego*.

Czytamy tam:

„Środek ciężkościości sił narodowych polskich spoczywa w Królestwie. Jest to obszar środkowy, przedstawiający największe skupienie liczebne Polaków, ekonomicznie najsilniejszy i jeszcze najniezależniejszy ze wszystkich ziem polskich, kraj przytem, który w ciągu stuletniego okresu, rozpoczętego pierwszym rozbiorem Polski, miał najbogatszą ze wszystkich ziem polskich historję, jedyny ze wszystkich miał przez krótki czas swoją własną organizację państwową, a choć zmienne były jego koleje, dawały one przecież pomyślniejsze, niż gdzieindziej, warunki rozwoju życia narodowego i narodowej myśli.

Otóż ten kraj dziś najwięcej z wszystkich ponosi strat narodowych i — podkreślić to trzeba wyraźnie — najmniej czyni dla obronienia się od tych strat i od grożących mu na przyszłość niebezpieczeństw.

W głównej tedy dzielnicy polskiej, na najważniejszej naszej pozycji narodowej, stoimy dziś najgorzej".

Oto dosadnie, a ściśle wskazane jest terytorjum, gdzie skupić się powinny najenergiczniejsze nasze usiłowania dla zażegnania ponoszonych strat narodowych.

Odpowiedź zaś na pytanie: co czynić? — będzie sama w sobie realnym programem, którego urzeczywistnianie równoległe z programem pracy organicznej poczytujemy za pierwszorzędnej wagi nasz *obowiązek narodowy*.

Jakaż by to być miała czynność konkretna?

Drzazgi.

Jedno z pism endeckich nazwało *Prawdę*, z powodu dwu ostatnich zeszytów «kanałem, przez który płynie ohyda moralna». Ma rację: wszak przez dwa ostatnie tygodnie płynęły przez nią... dzieje Endecji.

RABINDRANATH TAGORE. Spolszczył R. Zrębowicz.

Pieśni.

II.

Nadmiarem lutych więzów splecione me serce —
Jednak umiera z bólu, gdy je chcę potargać.
Potrzeba — jest wolnością, wstydem — jest nadzieja.
Chociaż wiem, że bezcennym skarbem jesteś dla mnie
I przyjacielem życia — to jednak bez żalu
Nie usunąłbym z izby codziennych błyskotek.
Powłoka mego ciała z prochu i ze śmierci,
Nienawiść ją rozrywa, ale miłość skupia.
Wielką jest moja wina i wielkie me grzechy —
Wyznaję mą sromotę tajemną i ciężką,
Lecz drżę z trwogi przed tobą, że, gdy przyjdę prosić
O łaskę zmiłowania w błagalnej pokorze — —
Nie zechcesz moich modłów wysłuchać o Panie.

Trefnisiu, chcący dźwigać siebie na swych barkach,
Nędzarzu błagający u wrót swych jałmużny —
Bądź oztoją dla siebie, nie patrz z żalem w przeszłość;
Żądze twe gaszą snadnie światło twego życia,
Nie przyjmuj nigdy darów z ich nieczystych dłoni —
Bierz jeno to, czym święta miłość cię obdarza.

Cicha śmierci, co szepczesz już życia spełnieniem—
Czekałem na cię długo — dla ciebie znosiłem
Wszystkie troski, cierpienia i radości życia.
Czem jestem, czego łaknę — wszystka miłość moja
W głębokiej tajemnicy płynęła ku tobie.
A dziś, gdy twe spojrzenie gasi moje życie —
Raduję się, że ono twojem pozostanie;
Zerwane wszelkie kwiecie, już wieniec gotowy.
Dla spragnionego szczęścia oblubieńca śmierci
Opuszcza narzeczona swój dom rodzicielski,
By się z panem swym złączyć w samotności nocy.

W godzinie, w której śmierć do twoich bram zapuka,
Czym ją ugościć pragniesz? Pragnę stawić przed nią
Naczynie mego życia pełne aż po brzegi —
Nie odejdzie odemnie z próżnemi rękoma.
Wszystkie owoce pełne słodyczy i woni
Przeminionych jesieni i nocy miesięcznych,
Bujne żniwo, rzetelne zyski mego życia — —
Tym wszystkim ją uraczę, gdy do bram zapuka.

Chełpiłem się przed ludźmi, że cię już poznałem —
Przeto widząc w mych dziełach twych lic wizerunek,
Pytają mnie: „gdzie jesteś" Cóż ja im odpowiem? —
Bezradne słowo „nie wiem" mam dla nich jedynie.
Oto pełni szyderstwa, ganiąc mnie, odchodzą —
Ty siedzisz uśmiechnięty.
W trwałych pieśniach ma wiedza przed tobą się korzy,
A tajemnica twoja przenika me serce.
Jakimże jest jej jądro! — pytają mnie ludzie —
I znów bezradne słowo mam dla nich: „ja nie wiem".
Bo i któż może wiedzieć, czym jest samo jądro?
Oto pełni szyderstwa, ganiąc mnie, odchodzą —
Ty siedzisz uśmiechnięty.

M. DĄBROWSKA.

Polska bezdomność.

Z CYKLU: „PRZEBUDOWA SIEDZIB".

1.

Kulturę, której niejedno mamy do przyganienia, ale której nie wyrzeklibyśmy się za nic, stworzył człowiek osiadły. Symbolem życia osiadłego jest Dom, mocno w ziemię wkopany, i najoczywistszą, ostrą sylwetką murem zakreślonej i zamkniętej przestrzeni, odcinający się na tle, nie przez człowieka stworzonej i terenem jego zwycięztw będącej Przyrody. Dom jest tedy znamieniem kultury człowieka osiadłego. I czymś więcej. Jest prototypem Ojczyzny. Dom i Ojczyzna to symbole jednej, tylko rozrastającej się do coraz szerszych kręgów pojęcia — sprawy.

Wygnać człowieka z jego domu; skraść podstępnie jego rodzimą sadybę; pozwolić na to, by miljony ludzi żyło w potwornych, ciasnych, zimnych klatkach; sprawić, by miljony nie miały prawa rządzenia się we własnym domu i podtrzymywania własnego ogniska — to są grzechy śmiertelne przeciw kulturze i przeciw Ojczyźnie.

I z nimi wiążą się wszystkie krwawiące i ropiejące rany społecznego bytu narodów.

Zaś nigdzie tak — jak w Polsce.

Nigdzie te dwa pojęcia najsłodszej na świecie rzeczy — *Dom* i *Ojczyzna* nie rozprzęgły się tak jak u nas.

Razem z upadkiem Rzeczypospolitej gruzy przywaliły miasta i wsie polskie i pozrywały nawiązane już do przyszłości nici osiadłej i zadomowionej kultury.

Naród Polski jest dziś w samym sercu Europy jakimś szczególnym *koczownikiem*. Co roku coraz liczniejsze rzesze opuszczają Polskę, gdzie coraz trudniej o dom i siedzibę.

2.

W takich warunkach nic dziwnego, że sama postać siedzib polskich staje się coraz bardziej ohydną i problematyczną. Z całej budowanej Polski „forma pokrzywdzona woła". Coraz nam bardziej wszystko jedno, jaki kształt ma ziemia polska, oddawana we władanie każdemu, kto ma siłę lub pieniądze. Budowę naszych miast oddaliśmy obcym przybyszom ze wszech stron świata, którzy ów bezoporny koczowniczy teren na swoją wyzyskują korzyść. Pono już nawet i robotników do budowy używamy nie-Polaków.

Nic dziwnego, że piękna niema już prawie w polskiej architekturze. Że Warszawa staje się coraz tragiczniejszą mieszaniną wschodu z kapitalistyczną tandetą.

Że wzrasta „na gruzach polskości" (dosłownie).

Że we wszystkich naszych miastach skorupa jakichś koczowniczych bud narasta na ich cudne, starożytne serca.

Że nawet wsie krwawią oczy sterczącym z pośród brzydoty i nędzy wzorem zaniechanego piękna, zapomnianej urody starodawnego obejścia.

Zabudowanie Polski współczesnej wzięła na siebie obca spekulacja, która zniszczyła doszczętnie wszelkie dostojeństwo i piękno polskich siedzib i zaostrzyła w sposób niesłychany istniejącą już i tak społeczną bolączkę sprawy.

Ona spowodowała ten fakt, trudny do wyobrażenia, że *Warszawa jest 20 razy gęściej zaludniona niż Londyn*. Że mieszkanie polskiego robotnika stało się wstrętnem. Że życie „kątem" po kilka i kilkanaście osób w jednej izbie nikogo już nie przejmuje dreszczem zgrozy.

Że się domy na domach piętrzą i coraz trudniej o oddech w ciasnocie podwórz welonem mroku nakrytych.

3.

Zło jest w Polsce o tyle cięższe niż w innych krajach, o ile bardziej jesteśmy bezbronni i skrępowani. Wchodzi i panoszy się. Nie możemy mu jak Anglicy przeciwstawić *prawa* o racjonalnem planowaniu miast i o budowie domów, uwzględniającej potrzeby ludności.

Ale możemy jak Anglja zacząć pracę od dołu.

W Anglji rząd poszedł za przykładem społeczeństwa, które ze siebie wyłoniło umiejętność budowania estetycznych, wygodnych skąpanych w zieloności i przestrzeni, a każdemu dostępnych miast i przedmieść.

My nie możemy mieć złudzeń, że jakikolwiek rząd za naszym pójdzie przykładem.

Wszelako musimy przypomnieć znów tę zapomnianą rzecz, iż siła idąca od dołu, potęga czynu murowanego przez twórcze społeczeństwa, decyduje zawsze w ostateczności o postawie owej „góry".

Robotnicy angielscy pozbyli się pośrednika przez to, że mocą kooperatywy sprawę spożycia sami poprowadzili.

Wszystkie warstwy angielskie pozbywają się cierpliwie a skutecznie przedsiębiorców budowlanych, szpecących postać ojczyzny i wyzyskujących jej obywateli przez to, że tą samą drogą kooperacji wysiłków społecznych, zaczęły sobie same budować nowe miasta. Miasta i przedmieścia, przywracające urok tych staro-

dawnych siedzib ludzkich, kiedy to mniej rozprawiano o sztuce, a jednak każdy był artystą przynajmniej własnego domu.

Należy i nam w tej dziedzinie tężnym wysiłkiem samopomoc społeczną wydźwignąć z nicości.

Rozszerzać nasze aspiracje i dążenia wbrew wszelkim przeciwwolom, bo o przyszłości narodu stanowi to czego się on *nie wyrzeka*.

Należy co prędzej wziąć się do przebudowania polskich miast na modłę polską, stylową, nawiązując do dawnych tradycji.

4.

Czy istnieją owe tradycje?

Niewątpliwie. Wzory drzemią po starych bibliotekach, po nigdy nie otwieranych i nierozpowszechnianych tekach malarzy.

Po obojętnie mijanych zakątkach życia, po wsiach i miasteczkach zapadłych, z których niedawno artysta malarz Gumowski wydobył urjańskie perły urody i prostoty, rysując dawne dwory i plebanje.

Polskie tradycje architektoniczne istnieją i muszą one mocą naszego wysiłku na nowo ziemi naszej kształt pięknym uczynić.

I nie dosyć. Pięknym — dla wszystkich.

Dla całej wielomiljonowej rzeszy rodzin robotniczych i chłopskich.

Dać każdemu na wsi, czy w mieście hojną dłonią powietrza, zieleni i obszaru mieszkalnych izb tak jak to czynią Anglicy. Byśmy znów wszyscy mogli mieszkać w pięknych polskich domach, które stałyby się na nowo Ojczyzny symbolami.

Uczyńmy miasta nasze naszą własnością i wedle własnych potrzeb, nie zaś spekulacyjnego zysku je pobudujmy, by każdy łatwy miał dostęp do piękna i wygodnej siedziby. By rodzinny dom który winien być rozsadnikiem odradzającej się i rosnącej w siłę polskości nie nosił na sobie piętna krzywdy ani społecznej, ani artystycznej.

5.

Może pieniędzy niema na takie przedsiębiorstwo?

Prawda, że jesteśmy nie bogacze. Ale niestety to co powiedział Zych w „Słowie o Bandosie" na długo jeszcze pozostanie gorzką prawdą. Kilku magnatów polskich mogło by bez uszczerbku dla siebie postawić na nogi sprawę racjonalnego planowania miast i przebudowy przedmieść. Jesteśmy ubodzy wtedy gdy chodzi o stworzenie jakiejkolwiek siły polskiej. Stokroć nam się już bardziej podoba słabość, która upoważnia do dziecinnych skarg na prześladowanie.

A są przecie polskie kapitały. Tak, tylko one nie lubią wstępować w polskie przedsiębiostwa, zwłaszcza takie, które nie osobistym zyskiem lecz ogólną społeceńską wygodą i pomyślnością „pachną". Zresztą mierzi mnie już to ciągłe odwoływanie się do społecznego sknerstwa polskich miljonowych fortun. —

Jest cudowna droga gromadzenia społecznych i ogółowi służących kapitałów. — Kooperacja wysiłków i pieniędzy. Tą drogą poszli Anglicy, stwarzając swe miasta-ogrody.

Tą drogą i my pòjdziemy, by Polskę siłami ludzi ubogich na polski sposób przebudować i każdemu w niej bezpieczne, na poziomie wysokiej kultury stojące pomieszkanie zapewnić. I tak począć od podstaw walkę z polską *bezdomnością* i aż do końca ją przeprowadzić.

Sądzicie, że i w tym wysiłku, tak jak w każdym innym osaczą nas przeciwności?

Obyśmy najprędzej z całą pewnością ludzi silnych odrzec mogli:

— Tym gorzej dla nich.

A. S.

Skry.

Nieraz czuję się nazbyt poetą, aby kochać poezję. Przyroda mówi do mnie tak miłośnie, że pośrednictwo jakiejkolwiek sztuki między mną a nią zdaje mi się jej zaćmieniem i fałszerstwem, mąci naszą rozmowę.

***

Długotrwałe szczęście w miłości bywa zbytkiem ludzi miernych. Kto tą lub inną stroną duszy wyrasta ponad pospolitość, ten w rozmowie z kobietą znaleść może tylko mniej lub więcej krótkie zapomnienie, po którym ogarną go nowe pragnienia lub nowe potężniejsze idee, o wiele dlań donioślejsze ponad tego rodzaju codzienną uciechę.

A prócz tego zauważmy, że człowiek silny kobiecie daje coś ze siebie, słaby zaś sam z niej bierze, przez co pierwszy wyczerpuje swą energj i wprędce odchodzi, jeśli chce się ocalić, gdy tymczasem drugi przywiązuje się coraz łatwiej. (Mamy tu jednocześnie dowód — zaznaczmy w nawiasie — że i w miłości, jak we wszystkim, egoizm bywa regułą; a zarazem przyczynek wyjaśniający, dlaczego związki miłosne ludzi wielkich najczęściej bywały niedługotrwałe, i nieszczęśliwe).

***

J. KRZESŁAWSKI.

Galicja wobec reformy wyborczej.

Ostatnie wiadomości o stanie galicyjskiej reformy wyborów do Sejmu brzmią pomyślniej: jest nadzieja, że sprawa ta nareszcie zostanie dodatnio załatwiona. Już w grudniu różnice pomiędzy postulatami polskimi a ukraińskimi poczęły się wyrównywać, sprowadzając się ostatecznie do dwóch punktów. Chodziło naprzód o to, jaki ma być skład Wydziału Krajowego: czy ma w nim zasiadać 2 Rusinów na ogólną liczbę 7, czy też 8 członków. Następnie zaś nasuwała wątpliwość kwestja liczby okręgów dwumandatowych w Galicji Wschodniej (12 czy 16). Rusini, bynajmniej niesklonni do uważania Galicji Wschodniej za terytorjum utrakwistyczne, dążyli do zmniejszenia liczby tych okręgów i upierali się przy liczbie 12. Obecnie zaś godzą się już na 14 okręgów.

Sprowadzenie różnic do *minimum* nie przesądza jeszcze ostatecznego załatwienia sprawy. Byliśmy przecież świadkami, że układ, na który się już zgodzili wszyscy bez wyjątku w marcu zeszłego roku, został w ostatniej chwili zerwany, dzięki intrygom „ekscelencji" Abrahamowicza, który zmobilizował w tym celu wszystkie siły reakcji. I teraz również z reformy mogłoby nic nie być, gdyby nie wmieszał się czynnik, który w „autonomicznej" Galicji wszystko rozstrzyga: wola rządu centralnego.

Więc nie dlatego reforma stanie się dokonanym faktem, że dotychczasowy system wyborczy o pomstę do niebios woła, odsuwając od rządu wszystkie produkcyjne i żywotne klasy Galicji, lecz dla innej, bardziej decydującej przyczyny: reformy życzą sobie „sfery", a życzą sobie bardzo stanowczo.

Więc w tej Galicji, gdzie cześć dla złotego kołnierza wdraża się już od lat dziecinnych młodzieży, pozostającej pod patronatem jezuitów i bardziej jezuickiego od nich samych prezydenta Dembowskiego, umilkły głosy protestu. Ci wszyscy, którzy wołali gromkim głosem o zdradzie, gdy przyjąć miano projekt reformy Bobrzyńskiego, niczym prawie, prócz kilku drobiazgów, nie różniący się od dzisiejszego projektu — pozbyli się swoich obaw. Biskupi, którzy głosili w swych odezwach do ludu, że projekt grozi zalewem radykalizmu, bo przewiduje 12 mandatów z kurji powszechnego głosowania, uspokoili się w swej kapłańskiej gorliwości, i gotowi nawet pobłogosławić nowemu dziełu. Wszystko dobrze. Vindobona locuta — causa finita.

W całej Galicji cudowna przemiana. I Rusini, ci „Tyrolczycy Wschodni", spuścili nieco z tonu od czasu, gdy ich przywódca duchowy, metropolita Szeptycki, główny karjerowicz polityczny, znalazł się na audjencji u zniedołężniałego, lecz gorąco pragnącego pokoju, cesarza. I w obozie polskim nawiązano znowu nici między blokiem, a antyblokiem, tymi dwiema grupami, gryzącymi się bezustannie na wiedeńskim forum i wysadzającymi się wzajemnie z siodła, gwoli silniejszemu zademonstrowaniu „solidarności" Koła polskiego, w imię której zwalcza się tak zaciekle socjalistów polskich.

Antyblok jeszcze bruździ, jeszcze stara się przewlec sprawę reformy, ale w swych dążnościach wykazuje coraz to mniej agresywności. Zresztą nie wszystkie grupy antybloku działają tutaj solidarnie. Najwięcej krzyczą o „zdradzie narodowej" ci, którzy ze względu na swą słabość, nie spodziewają się otrzymać od rządu wiedeńskiego w chwili dzisiejszej żadnej realnej zdobyczy: ani teki, ani posady. Tak czynią np. chrześcijańscy demokraci, rozdymając sprawę stosunków niektórych działaczów ruskich z *Ostmarkvereinem* i umiejętnie ją wygrywając w swej prasie na swą korzyść, tak, jakby ona na losy reformy mogła i powinna wpłynąć.

Dla bloku, który swego czasu forsował reformę wyborczą, kwestja jej pomyślnego załatwienia — to kwestja sławy i karjery. Dobrze to rozumieli przeciwnicy bloku i dlatego tylu blokowych działaczów padło pod ich ciosami: Bobrzyński, Stapiński, Jaworski. Ostał się jedynie Leo a i to dlatego, że podał rękę antyblokowi, czegoby nigdy nie uczynił śmiertelny wróg narodowej demokracji, Bobrzyński. Dojście reformy do skutku — to gwarancja fotela ministerjalnego dla Lea, może Germana, może konserwatysty Czajkowskiego, zwanego „Bogiem-Ojcem".

Jeżeli reforma dziś dojdzie do skutku, kiedy wszystkim wiadomo, że zgoda następuje pod naciskiem rządu centralnego, będzie to miało dla przyszłego pomyślnego układu stosunków narodowościowych w Galicji znaczenie o wiele mniejsze, niż, gdyby się to stało rok temu, dobrowolnie.

Gdy reforma wyborcza zostanie uchwalona przy akompanjamencie mówek bombastycznych a nieszczerych, wielu odejdzie sytych od stołu biesiadnego. Syci będą politycy, z których niejeden odczyta reskrypt na swe imię, z nominacją na... ekscelencję. Zaspokoi swe żądania naród ukraiński, zdobywając 27% mandatów. Porosną w pierze stronnictwa t. zw. „demokratyczne", opierające swój byt w miastach na plutokracji miejskiej, głównie zaś na żydowskim żywiole. Głodne odejdą jedynie szerokie war-

stwy polskiego ludu pracującego. I to jest tragedją życia polskiego, że pominięto tych właśnie, z których grona rekrutują się jedyni *ideowi* zwolennicy reformy wyborczej; ludzie, którzy w jej przeprowadzeniu widzieli jedyny środek do pchnięcia na nowe tory Galicji, wychudzonej przez wyzysk szlachty podolskiej. Ale tych kilku przedstawicieli polskiej klasy pracującej, którzy dostaną się do Sejmu, wbrew wszelkim przewidywaniom geometrji wyborczej, będzie żywym protestem przeciw korupcji, toczącej, jak rak, polityczne życie Galicji.

K. WROCZYŃSKI.

Z poza kurtyny.

TYDZIEŃ TEATRALNY.

Starając się drogą poszerzania ram repertuarowych stanąć na wysokości zadań, które w naszem społeczeństwie winna spełniać placówka sceny, — Teatr Polski konsekwentnie doszedł do potrzeby wystawiania sztuk obliczonych na horyzonty widowni dziecięcej. „Szopka“ — oto przebogaty rodzaj teatralny mieszczący w sobie obecnie zarówno elementy spuścizn misterjum średniowiecznego, jak swoisty wytwór ludowości — comedi'ę dell arte typów. Jak żyzne podłoże przedstawia òw rodzaj, dowodem — z jednej strony faktura i koncepcja „Wesela” Wyspiańskego z drugiej „Szopka Zielonego Balonika“. Przypuszczam, — iż z obrębu tego pozostaną nowe jeszcze odmiany, którym kres wprost przewidzieć nie sposób.

„Szopka Warszawska“ Or-ota wystawiona świeżo na „drugiej scenie polskiej“ przypomina analogiczny utwór Rydla. Twórczo biorąc nie należy ona do rozwojowych gradacji swego rodzaju,— jest wytworem pomysłu eklektycznego, zawierającego i misterjalną tradycyjność i parafrazę ludowej comedi'i dell arte (stempla starej Warszawy) w galerji typów. Skreślona językiem dużej swady rymowej, właściwej autorowi, okraszona sentymentalną łzą wspominków historycznych,— wystawiona została z całą zamożnością aparatu dekoracyjnego właściwego Teatrowi Polskiemu przy współudziale sił najlepszych.

Sądząc po podnietliwem reagowaniu dziecięcego audytorjum na widowisko wnosić należy, że w wydajną wyobraźnię młodziutkich słuchaczów zapadło niejedno ziarno, niejedno wzruszenie (acz i zwątpienie niejedno), które kiełkować będzie nowemi skalami myśli, obrazów i pojęć. A do tego zdaje się zmierzał fakt wystawienia „Szopki Warszawskiej“.

XAWERY GLINKA.

Wystawa doroczna.

Gdy przed rokiem pisałem na tym miejscu o wystawie Tow. Zachęty Sztuk Pięknych, będącej niejako streszczeniem całorocznego dorobku sztuki polskiej, posunąłem się do dość ryzykownego, na pozór, twierdzenia, że ster naszej sztuki spoczywa w rękach najmniej po temu odpowiednich. Główną przyczyną tego, jak sądzę, jest nizki poziom wykształcenia artystycznego naszej publiczności, a to dla braku muzeów, dających zawsze skalę porównawczą, niezbędną przy ocenianiu dzieł sztuki.

Minął rok. Od tego czasu mało co się zmieniło. Jak wtedy tak i dziś na wystawie w Zachęcie *królują* niepodzielnie Lenc, Ziomek, Rapacki i Biske, malarze bez polotu i duszy, malarze już zastygli dla sztuki, którzy raz zdobywszy pewien stopień sprawności technicznej — utknęli na nim, pojmując doskonale, że jeden nieopatrzy krok naprzód a straciliby grunt pod nogami. Więc z uporczywością ludzi bez przyszłości, trzymają się raz już zdobytej placówki.

Dopływu młodych sił na obecnej wystawie prawie się nie widziało. Z grupy „Młodej Sztuki“ nie było ani jednego artysty.

A teraz maleńka przechadzka po wystawie.

Wyróżniają się dwa studja głów Ignacego Pieńkowskiego, może, powiedziałbym, zanadto japońskie. Są to w każdym razie jedne z poważniejszych prac na wystawie.

Znany nam z konkursu na obraz historyczny Boruciński wystawił bardzo dobry pod każdym względem obraz, damę w krynolinie („Czerwone róże“). Artysta ten zaciekawia mnie wielce i tylko mogę wyrazić żal, iż tak mało i rzadko wystawia.

Kramsztyka „Portret“ dobrze malowany, z widoczną jednak pewną manierą, niekoniecznie własną.

Ciekawym ze wszech miar artystą jest Tymon Niesiołowski. Kompozycja z dwiema postaciami przy studni („Zwiastowanie“) w bardzo szlachetnej gamie barwnej utrzymana — nosi zarodki wielkiej sztuki, chociaż zdradza wyraźny wpływ Puvis de Chavannes'a... Drugi obraz jest o wiele słabszy.

Maleńka głowa chłopczyka Mrozowskiej, nader miła i wykwintna w kolorze i rysunku. Przebijają się wielkie zdolności i wielka wrażliwość artystyczna. Portet malarza W. jest również bardzo dobrze pomyślany — chociaż słabszy w rysunku (głowa).

Bardzo dobry jest portret węglowy F. Kossowskiej, posiada wiele charakteru i mocy nie-

pozbawionej pewnego niecodziennego rozmachu.

Władysława Ślewińskiego morze jest, jak zawsze, wyczute głęboko i zdradza wielkiego artystę.

Wiele zalet malarskich, pomimo wyraźnych wpływów francuskich impresjonistów (Claude Monet) posiada Święckiej portret starej damy na świeżym tle wiosennej zieleni.

W dziale rzeźby na pierwszy plan wysuwają się prace Stanisława Ostrowskiego, zdradzające wyraźny zwrot w kierunku odrodzenia antycznego ducha oraz głowy M. Grossówny, traktowane naturalistycznie, z wielką jednak mocą i charakterem.

GROMICZ.

Z lotu ptaka.

26 stycznia.

O, nocy! piję twą ciszę jak najupojniejszy eliksir czarnoksięzki, piję twą głęboką harmonję ciszy.

Piję najczystszą kryształową ciszę nocy, której nie śmie zbrukać bulgot pojazdowych tętentów ni mechaniczna dychawica samochodowych motorów.

Drżą miljonowe dzwoneczki, brzęczą owadzie chóry myśli, błysków, migotów panoramicznych, zapadających jedne w drugie pomiotami kropelek wodospadów, skrzą się, przelewają, topią, — aż stężałe w zbiorowy unison krzepną potrąbnym metalowym klangorem ciszy.

W takich cichościach wieczystych suną po oceanach przestrzeni gwiazd karawany, w takich milczeniach pomrocznych dążą komety do nieznanych im słońc, w takich kryształowych harmonijnych głębiach cisz nocnych na ziemi genjusze odwracali historji karty.

Cezar przy Rubikonie rzucał kości w grze o panowanie nad uniwersum Romy.

Kopernik ujrzał hieratyczny pochód planet.

Młody generał Buonaparte wstrząsał myślą przyciesłe Europy.

W otchłannem ryczącym milczeniu takiej ciszy skona kiedyś glob ziemski.

27 stycznia.

Krzystof Kolumb mając zamiar wziąć się do odkrycia Ameryki zaszedł do jednego z Mecenasów warszawskich w nadziei uzyskania odeń środków materjalnych dla tak ciekawej bądź co bądź imprezy.

— Chcesz pan okryć Amerykę? — spytał Mecenas wysłuchawszy planu Kolumba, — hm, a masz że pan jakiekolwiek pod tym względem wykształcenie fachowe?

— Właśnie mniemam....

— Odkryłeś pan już co kiedy?

— Jeszcze nie, ale...

— Więc jakże? Pan, dyletant śmie żądać, bym wyrzucał pieniądze na niesprawdzone jeszcze dotąd przez nikogo eksperymenty? Kpisz pan sobie ze zdrowej logiki?! Żegnam!

Wtedy to Kolumb zmuszony był udać się do Izabelli Kastylskiej.

28 stycznia.

Jak powstał na świecie Teatr?

Na początku był Znawca, który kategorycznie i fachowo twierdził, że z tego nic nie będzie.

Potem zasię był Dramaturg, który pisał i pisał, a dramaty — co pisał — przechodziły wprost do potomności, ile że nikt z współczesnych czytać ich chęci nie miał ni zdrowia.

Zasię potem był Finansista, a miał Artystkę,— i cieszył się nią i radował.

Aż wreszcie zjawił się Niejaki i rzekł, że Artystka nie jest Artystką, dopóki niema Teatru, czyli: dopóki on i ona nie ma Teatru.

I rzekł Finansista: «niech się stanie Teatr!»— i stał się Teatr, a Niejaki został w nim Dyrektorem i Artystka została Artystką. I cieszył się Finansista tem i radował.

Lecz przedsię nie było sztuk do grania, czyli repertuaru, jako że Dramaturg wciąż pisał dramy dla potomności. Aż ci ujął go Niejaki i umywszy, a ochędożnie przyodziawszy przywiódł do Artystki i ostawił tam samopas. A ona wrychle uczyniła, iż Dramaturg golić się począł i cylinder sobie kupił a tak w Scenopisa przedzierzgnięty jął wytwarzać teatralja na obraz i podobieństwo ludzkie.

I powstał repertuar.

Atoli Znawca został Recenzentem i twierdził nadal kategorycznie i fachowo, iż z tego nic nie będzie, dopóki on — Znawca nie będzie miał Artystki. Aż stało się, że twierdzić przestał.

I odtąd istnieje na świecie Teatr.

Listy do Redakcji.

Szanowny Redaktorze!

Arogancja p. Wasercuga zmusza mnie do proszenia Cię o udzielenie mi jeszcze raz miejsca w Twym piśmie w sprawie osobistej.

W Nr 3-im „Widnokręgu" p. Wasercug twierdzi, że zdanie zawarte w moim liście drukowanym w N-rze 2-im „Prawdy", które brzmi: „co się zaś tycze likwidacji zbankrutowanej spółki „Tydzień", to zdaniem sądu winienem się zwrócić nietylko do p. Wasercuga, lecz i do p. Jankowskiego" — zawiera „zmyślony przez p. K. dodatek do wyroku sądu".

Otóż na ten płaski zarzut — odpowiadam, że zdanie to nie zawiera żadnego mojego wymysłu, lecz jest *wyjaśnieniem, jakiego mi dwukrotnie udzielił przewodniczący sądu p. W. Makowski, raz za pośrednictwem p. A. Mogilnickiego, drugi raz osobiście.*

Miałem wszelkie prawo powołać się na to wyjaśnienie, a p. Wasercug miał wszelką możność sprawdzenia jego wiarogodności i jedynie niepoczytalna arogancja pana W. jest w stanie robić mi zarzut z powołania się na nie.

W kwestji zaś rzekomego zgodzenia się pp. Wasercuga i J. Jankowskiego na drugi sąd polubowny — otrzymałem następujący list:

Monsieur Georges Kurnatowski. Paris. 29. 12. 13.

Kochany Jerzy! Zapewne odebrałeś moją kartę, wysłaną pod dawnym adresem. Na wszelki wypadek powtarzam, że nic nie uzyskałem, gdyż *Wasercug zasłania się Jankowskim, a Jankowski na listy nie odpowiada.* Łączę i t. d. Aleksander Mogilnicki".

Od p. W. Orłowskiego zaś, którego prosiłem o zastępowanie mnie przed drugim sądem polubownym, o ile nań zgodzą się pp. W. i J., również w końcu grudnia otrzymałem odpowiedź, zrzekającą się mandatu, jako bezprzedmiotowego.

Po otrzymaniu tych odpowiedzi uważałem się za najzupełniej uprawnionego do publicznego ogłoszenia sprawy.

Teraz — pod presją mojego listu wydrukowanego w «Prawdzie» — pp. W. i J., o ile ich rozumiem, zgadzają się na drugi sąd polubowny, lecz mieli na to blizko miesiąc czasu (listy p. A. Mogilnickiego do pp. Wasercuga i J. Jankowskiego z odnośną propozycją są datowane z dn. 29 listopada 1913 r.), a ja nie mogę bez końca zaprzątać ludzi moimi sprawami.

Na początku swej odpowiedzi p. Wasercug zakazuje mi wogóle poruszania tej sprawy, gdyż „poruszanie sprawy, załatwionej przez sąd polubowny jest przekroczeniem elementarnych zasad ludzi honoru".

Bezczelność p. Wasercuga jest iście bezprzykładna!

Przedewszystkim sprawa, jak widać z powyższego, jest tylko przez pół załatwiona. Następnie tu nie chodzi o sprawę honorową, lecz o sprawę cywilną; poruszanie zaś takich spraw jest zawsze dopuszczalne, byleby było zgodne z rzeczywistością. Wreszcie niehonorowem jest właściwie tylko pisanie kłamstw, których w moim liście nie było i właśnie dla tego, że ja pisałem tylko prawdę, w świetle której p. Wasercug widocznie nie podoba się sobie, nie może on zaprzeczyć przedstawionej przezemnie istocie sprawy.

Należy jednak przyznać, że obecny redaktor i wydawca „Widnokręgu", ex-redaktor „Izraelity" — jest człowiekiem zręcznym, o! niezmiernie zręcznym.

Racz przyjąć, Szanowny Redaktorze, wyrazy mojego poważania

Paryż, 20 stycznia 1914. *Jerzy Kurnatowski.*

P. S. Nie mając tak, jak p. Wasercug, do mojej dyspozycji dwóch pism, oraz nie posiadając zdolności zakładania nowych — na dalsze napaści pp. W. i J. bezwzględnie odpowiadać nie będę.

Prenumerata PRAWDY wraz z bezpłatnym dodatkiem w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb 8, z odn. do domu. Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10. Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Redaktor przyjmuje interesantów w poniedziałki, wtorki i soboty od 2-ej do 3-ej. Rękopisów nie odsyła się.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Zdumiewająco pomyślne wyniki przy leczeniu zasłabnięć nerwowych.

Niewielu ludzi zna istotną przyczynę swych cierpień, nie każdy zaś wie, iż wszelkie męczarnie powstają na gruncie osłabienia lub rozstroju systemu nerwowego. System nerwowy składa się głównie z mózgu i mlecza pacierzowego, z których z kolei rozgałęziają się po całym organizmie włókna nerwowe, tak iż mózg i mlecz pacierzowy stanowią ośrodki całego systemu nerwowego. Istotnej zatem przyczyny choroby szukać należy nie w dotkniętem nią miejscu organizmu, lecz w centrum systemu nerwowego. Objawy tego rodzaju zasłabnięć są najrozmaitsze, mianowicie: bóle głowy, drgawki, bóle krzyża, twarzy, gardła, stawów, ćmienie w oczach, bicie serca, bezsenność, ciężkie sny i zmory senne, zawroty głowy, niepokój, tętnienie w żyłach, odpływ krwi z członków, drżenie rąk i kolan przy najlżejszym wzruszeniu, szum w uszach, niemoc płciowa, lękliwość, pijaństwo i inne. Głównymi sprawcami chorób nerwowych są: przemęczenie lub nieprawidłowe odżywianie systemu nerwowego. Do usunięcia tych przyczyn istnieją dwie drogi: bezwzględny spokój lub też wzmocnienie nerwów za pomocą materjałów odżywczych. Najradykalniejszem byłoby korzystanie zarówno z jednej drogi, jak i z drugiej, lecz rzadko się to komuś udaje. Brom, kawa, alkohol i t. p.—tylko chwilowo uspakajają lub podniecają nerwy, zaś przy dłuższem używaniu więcej przynoszą szkody, niżli pożytku. Do prawidłowego rozwoju wątłej roślinki i dla uczynienia jej płodną — jest rzeczą niezbędną — dostarczenie jej gleby, użyźnionej odpowiedniemi materjałami, tak ma się rzecz i z nerwami. Najlepszym pokarmem do odżywiania ich jest— dostarczenie znacznej ilości odpowiednich materjałów. Materjały te nie są niczem innem, jak fosforokwaśnemi związkami organicznymi, z których powiodło się d-rowi Hartmanowi tsworzyć preparat odżywczy, Kordjalinę, w dogodnej do przyjmowania postaci.

O tem, że środek ten w zupełności odpowiada swemu przeznaczeniu, wzmacniania nerwów bez pobudzenia tychże, świadczy mnóstwo głosów dziękczynnych zarówno ze strony lekarzy jak i osób, które się przekonały o jego skuteczności. Jakiego zdania o naszym środku są lekarze świadczy o tem list, nadesłany nam z klasztoru Karmelitów św. Piotra: „Prosimy o nadesłanie nam jeszcze 6 pudełek „Kordjaliny", gdyż lekarz nasz domowy środek ten bardzo chwali i zaleca dalsze używanie go".

Tysiące tej treści odezw zmusiły nas do wydania całej książki, w najwyższym stopniu interesującej wszystkich cierpiących na nerwy. Proponujemy W. P. wypróbowanie środka naszego zupełnie bezpłatnie, jedynie przez powołanie się na niniejszy artykuł. Na zapytanie W. P. kartą pocztową wyślemy bezpłatnie pudełko próbne tego leczniczego środka, prosimy jedynie o podanie adresu swego wyraźnie. Należy pisać bez najmniejszej zwłoki, gdyż wyczerpanie nerwowe może pociągnąć za sobą bardzo poważne powikłania — pod adresem: D-r K. Hartman, № 736, St. Petersburg, Wozniesienskij Prospekt № 57.

Redaktor: Wincenty Rzymowski. Wydawca: Józef Jabłoński
Druk L. Bogusławskiego, Warszawa, S-tokrzyska 11.